ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. Października. № 41. Roku 1855.

RAFAEL I FORNARINA.

Z francuskiego pana Méry.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 37. 38. 39. 40. Rozmaitości.)

10.

Antonio Vanozzi.

Piękny był Rafael, i piękne były dzieła jego, ale piękniejszym jeszcze był wiek ten, z którym piękność imienia, osoby i talentu jego zespoliła jednością ducha i myśli, co utworzyło z Włoch całych jedno Muzeum, jedną galeryę sztuk nadobnych niezgłębioną, bo od czterechset lat potąd niewyczerpaną.

Wiek-to jedyny w dziejach, gdzie pierwsi ojcowie ludów, gdzie papieże sami popierając święty zapał, sami pod imieniem Juliuszów di Rovera, Leonów di Medici, Paolow Borghesi dorzucali zarzewia, którém się uszlachetniły Włochy i wystawiły cudowny przybytek wytworom sztuki. Za światłem roznieconém ręką podówczas wszechwładnych panów, ubiegali się kto tylko czuł w sobie powołanie do sztuki jakowéj; podwoje Watykanu i Piotra świętego stały na ich przyjęcie otworem, i wkrótce Rzym liczył talenta i geniusze piérwszego rzędu; zdawało się jakoby je wszechmocność tyary zradzała, co właściwie było tylko wywodem opatrznéj i hojnéj szczodroty papieskiéj, boć ludzie się znajdą kto ich wyszukać i szanować umie.

Za przykładem a może i na przekor Rzymowi otworzyły Wenecya, Florencya, Genua, Sienna, Pizy przybytek sztukom, rządy i możne dwory w zawód przemagały się wytwornością w budowie, wspaniałością gmachów i świątyń, misternością dzieł malarstwa i rzeźbiarstwa, a jakiebądź przytém mogły niemi powodować chęci, zamiary, przeczucia i przekonania, zawsze ten nowy rodzaj zapału i poświęcenia zacierał ową grubę średniowieczną ciemnotę, jéj ułomności i przywary, jakie rozpleniała dzicz, pycha, łakomstwo i niepohamowana potąd zaciekłość rycerska.

I w tém świętém wysileniu swojém nie zawiedli się pasterze ludów; potęga ich woli wywołała wiek nowy, artyści i mistrze stanęli sprężyną życia odrodzonego, a czołem między nimi szedł Rafael Sanzio d'Urbino. Zdumiewa się umysł patrząc na moc tych dzieł, które natwo-

rzyła jedna ręka tego mistrza, a barddziéj jeszcze gdy pomni, że twórca dzieł tylu zgasł w kwiecie życia.

Wszyscy artyści z owéj pory dobijali się szczęścia zbliżyć do Rafaela, wszyscy łaknęli spojźrzenia jego, a z poprawek od jego ręki chlubili się, szczycili się przyganą jego więcéj niż swoim talentem. Ze wszech stron Włoch i Hiszpanii dopraszali się przyjęcia do jego szkoły, kołatali u drzwi jego z pokorą, bo przyjęcie było trudne, sama już zawiść licznych uczniów utrudniała przystępu dla nowych.

Ostatni z przyjętych do grona wyznawców jego szkoły był Antonio Vanozzi, młody i zręczny malarz, twarzy o rysach miękkich, raczéj niewieścich, nie mógł z pozoru liczyć nad lat pietnaście. Długie czarne włosy, zwyczajem owych czasów rzucone splotem spadały ku ramionom od twarzy białéj nieco od słońca smagłéj, za to ożywionéj okiem ognia we Włoszech nawet nie zwyczajnego. Pałał płomieniem namiętności jakoby spotężonéj a niczém nieugaszonéj.

Jakąby zaś była owa namiętność? z całéj szkoły nikt tego nie odgadł.

O nim wiedziano że długo zabiegał, nim się do rzędu uczniów Rafaela wprosił, a zawdzięczał względy ze zręczności pędzla swego, i istotnie wyższości talentu. Bliżéj nie był zresztą nikomu znanym, sam zaś kolegom mało się udzielał, i w samotności się kochał.

Jego rozmowa zwrot miała inny, i dziwnie odbijała od zwykłéj u młodych malarzów żywości. Zdawało się jak gdyby z innego był świata, i że tylko przypadek albo nieporadna chwila jakiejś niedoli zapędziła nim między warstaty.

I w rzeczy saméj niedola pędziła nim za Rafaelem, że nawet zaprzeć mu się kazała imienia i rodu swego. Imię mu właściwe było Antonia z przezwiskiem Vanozza; przed ludźmi kłamała się Antonim Vanozzi, co w ówczas przy stroju hiszpańskim buchastym, bynajmniéj obcisłym, snadnie uchodziło; u siebie w domu znała się Antonią Vanozzą, wnuczką dworzanki Vanozzy, sławnéj za czasów Alexandra VI piękności hiszpańskiéj.

I w jéj krwi nie ostygły, lecz wrzały wszystkie ognie Hiszpanki. Sławione wszędzie pochwały imienia Rafaela Sanzio rozniecity ciekawość kobiécą, wspaniałość, piękność i wdzięk dzieł jego zapaliły jéj umysł, a pochopne serce rozżarzyło się chęciami tak, że w chwili mniéj oględnéj opuszcza dom i męża, przestraja się w mężczyznę, i udając pozory talentu do sztuki malarskiéj, godzi na los szczęścia do Rzymu, by się wprosić, wcisnąć lub wkupić między uczniów mistrza, ku któremu nią płocha lekkomyślność pędziła.

Lecz wkrótce doznała, że bezkarnie nie wolno serca wyzywać; za zbliżeniem się do Rafaela przenikły jéj duszę setne przeploty uczuć gwałtownych, które ją wryły w istotne koło zaklęte, gdzie jeźli kto jest, zginie, a kto z niego wystąpi, także zginie. Co gorsza, że ani się wynurzyć można było w tym stanie; nie pozwalała śmieszność położenia samego, nie pozwalała obawa wzgardy,

wreszcie i wstydliwość wrodzona. Jedna nadzieja cieszyła, że może się nadarzy pora odkryć mistrzowi gwałt sobie zadany, i w oczekiwaniu chwili sposobnéj zamknęła wrzące uczucia przed światem, i osłoniła się pracowitością i wyszukaną skromnością.

Pół roku upływało, i miłość spotężyła się w namiętność szczerą, bo niewątloną żadném skrzywieniem; gdyż odosobniona od wszystkich nic nie wiedziała o miłości Rafaela do córki Fornara Gaffarellego. Domyśliła się dopiéro, ujźrzawszy jéj portret.

Nowy prąd uczuć przeszył zapalną duszę Hiszpanki. Strzałą zawiści przemknęły się przez serce trwoga, gorycz i gniewy, i zlały w dziką nienawiść do téj rywalki, która jéj wydarła serce Rafaela, i spożyła bez odwetu jéj ofiary z siebie i poświęcenia; zrażona miłość dotąd w cichości pieszczona zawrzała w niéj całą srogością namiętności.

W Hiszpanii i we Włoszech, szczególnie w owym wieku gdzie kobiéta żyła tylko namiętnościami, zawiść była uczuciem nie takiém co my północni mieszkańce pokonywać zwykli słówkiem śmieszności albo dowcipem, i którego się nasze towarzystwo wstydzi, i układnością pokrywa. W krajach gdzie pani domu gościowi przesłać może rozkazy w tych słowach: „Pani przeprasza, bo teraz się kocha" — w takich krajach zawiść przybiéra rozmiary i potęgę jakiéj sama najgwałtowniejsza miłość ledwo ulega. W tym kraju pojmują i uniewinniają wszyscy szały zawiści, żartu z niéj nikt nie pozwoli sobie, okrył by się śmiesznością *d'un tramontano*.

W piérwszéj chwili Antonia Vanozza, acz żarzona nienawiścią, walczyła z sobą, niepewna jakieby powziąść zamiary. W umyśle ścierały się na przemian najswarliwsze układy i nie stręczyły nic stanowczego, czém by się dało przygasić trawiące płomienie. Jedno, co się jéj konieczném widziało, było potrzeba wyrzec się samotności i swego odosobnienia, a żyć z kolegami, ażeby przez nich rozeznawać położenie i stan związków domowych Rafaela i Fornariny. Więc wychodząc w towarzystwie całém z domu na znak Giulia Romana, przyłącza się piérwszy raz, odkąd się w malarstwo bawiła, do grona młodszych kolegów i zuchwalszych, których zwyczajem bywało przepędzać wieczory po owych *Osteriach*, co ponad Tybrem pozakładane są w Rzymie.

U rogu ulicy di Borgo nuovo, gdy się towarzystwo rozchodziło, a ochotniejszych koleżeństwo ku Tybrowi zwracało, mówi Antonia do jednego z nich, który szedł przy niéj:

Ehi! Paolo, pozwolisz że pójdę z tobą?

Ale z ochotą, prosimy, odrzekł Paolo, także jeden z młodych a przystojniejszych uczniów Rafaela; lat może miał dwadzieścia.

A dokąd pójdziemy?

A l'osteria delle Infanti. Dziś tam będą tańczyć Saltarellę, z którą się nasz hoży Giaccomo ma popisywać w tych dniach na odpuście w Baccano. A Giaccomo umie tańczyć! ale musi spróbo-

wać, bo nam chodzi wszystkim o honor, ażeby wstydu nas nie nabawił.

Chodźmy, gdzie chcesz, odpowiedział zmyślony Antonio.

A wyglądał ten Antonio w męskich sukniach prześlicznie jak skończony kawaler, pełen wdzięku. Wprawdzie ruchy nie domagały zupełnie żywością i męstwem, przebijała się z nich jakaś niedbała miękkość, ale patrząc w nim na wyraz twarzy, przypisywano to przywarom wieku niedojźrzałego.

Nikomu téż i przez myśl nie przechodziło, by kobiéta bogata, w zbytkach wychowana, zacisnąć się mogła w suknie płci swojéj nie właściwe, więc téż kochano w niéj chłopczynę niewinnego, niedorostka jeszcze.

I słusznie, gdyby nie to stronienie, posiadał ten Antonio wszystkie przymioty, które jednają przychylność, zwłaszcza między młodzieżą, gdzie dusza związków pragnie i przyjaźnią sprzymierza. Dowcip Antonia ujmował mimowolnie i zagrzewał rozmowę, a w chwilach pogodniejszych, jeźli się zdarzyło że co opowiadał, stawali wszyscy w około, bo z ust jego jak ze szkoły Boccaccia wypłynęło nie jedno słówko, które się snadnie dawało wrobić pod pędzel wyznawców malarstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIĘCIOR.

Czuję się corok samotniejszym, pragnę się użalić, i nic dziwnego! pod głuchą jesień człeku jak drzewu chciałoby się wyszumiéć. Od lat tylu co żyję, ileż-to lubych pogasło wspomnień, ile drogich związków runęło. Niepiewne chwasty nasiadły, że serce owrzało łupą twardą i już nie przepuszcza nowych kształtów, nowych postaci, by je sprzymierzyć z tém co pod łupą się zasklepiło. Do tego czuję że nie o same kształty, ani postacie jedynie chodzi; widzę że co się dzieje, wszystko się dzisiaj na inny sposób odgrywa. Dawny obyczaj stał się dzisiaj zgorszeniem. Generacya nowa obnosi się z nadziejami nowemi, unoszą ją jakieś niezwyczajne zapędy, śpiewa i nuci czego nikt z naszych nie rozumie, nawet gada innym językiem, nie takim jak wtedy kiedy-m ja jeszcze pląsał.

To razi i odosabnia; a co gorszą że dusza przytém drażliwszą staje a ciało dotkliwsze. Burze i niepogody, zdaje się obebrały ciało z osłony, wystaje jak pień nagi, ogołocony z kory, czuje najlżejsze dotknięcie, chociażby nawet i pulchnéj rączki, zawsze to dla mnie w tym wieku jest bolesném, nie tak jak za młodu; wtedy wydawało się że balsam płynie kiedy kto głaskał.

Już tego mię nikt nie przekona, by moja młodość w pogodniejszych nie przepłynęła latach; ale także i o tém nie wątpię by wnucy po nas nie śpiewali téj saméj piosnki swoim prawnukom. I to mię pociesza, bo mi dowodzi że świat bynajmniéj nie gorszeje; raczéj z nami-to z nami co dzień gorzéj! z laty ćmi nam się w oczach. Takie-to już usposobienie nasze, za młodu chwytamy żywiéj za radość, a na starość dotkliwiéj czujemy boleść. Nie wiem dla czego, ale to ztąd może, żeśmy młodości dobrze nie przetrawili; więc téż w późnéj starości i w wieku zgrzybiałym silimy się dotrawić ją wspomnieniem, i wyciągamy kwiatki z podróży naszéj zasuszone między kartkami w książce, albo wywlekamy zwitek listu zżółkłego, albo wstą-

żeczkę, albo próchenko jakie z lat upłynionych, i przeżuwamy co nie dożuła młodość.

Dziwne spotkanie! Po czterdziestoletniéj Odyssey życia mojego, zapędził mię los na wybrzeże Itaki mojéj. Stoję na tém samém wzgórzu wysokiego zamku, z którego chłopcem marzyły mi się zaszczyty i sława; opodal rzeczka ta sama, i stawy i młyny jak mełły tak mielą, laski i gaje szumią na prawo i lewo jeszcze tym samym szumem, a wszystko coś mi się tak robi, jak gdyby z tego samego drzewa mieli mi ciosać i trumnę, z którego kołyskę robili!

Nie dziw że mi się jakoś rozrzewniło około serca; przebacz kto to czytasz, bo to po wodach i stawach bywają klarowniejsze czasami miejsca, z-pod których przebija się to co pod niemi jest w głębi. Otóż-to właśnie w tém miejscu jest stawek z mojego życia klarowniejszy, z-pod spodu którego wyświęciła mi się pamięć zalana powodzią wieku. Stoję tu i opatruję ze wzgórza, a każda rzecz coś dawnego mi przypomina!

Rozgadałem się stary; — dobrze, będę już milczał. — Ale, otóż i słup mój z drogi rozstajnéj! O, co o nim muszę powiedzieć, tegoście jeszcze nie słyszeli; a słup ten o naręczach z napisem, to tak jak moje życie. Powiem tedy.

Tam o sto kroków za wsią stoi probostwo, zagródek nie wielki, klon, jarzębina, głogi łączą go z gromadką. Przed pięćdziesięcią i kilką laty mieszkał tam pleban, błogosławione bądź imię jego póki świat stoi; bo to rzadki był człowiek, uczciwy, skromny, bogobojny a ludzki, wzór dawnéj daty jakimi patryarchowie bywali. W układzie jego prawda wiele nie było tak jak po formach seminarzyckich, ale że człek był godny, więc przypadało mu to do twarzy i jakoś uchodziło. Biegłym był bardzo w teologicznéj kazuistyce, i filozofów rozumiał z gruntu, lecz sąd jego i rozmowa nigdy nie cuchnęła nauką; co mówił, mówił z doświadczenia, mówił od serca, a to stawało zą szkołę. Na ludzi liczył tyle, ile ich zwyczajny gospodarski rozum umiał pojmować, i nie więcéj; a na ich cnotę stawiał — jak wóz na wydeptaną koléj, pewien że nie ugrzęźnie, i choć z trudnością przejedzie przecie bez szwanku. Takich mędrców rzadko! trudno jak o jaskółkę w świętą Gromnicę. Często mię zastanawiało którędy droga do serca i do rozumu ludzi, i nie chce mi się dowierzać temu co słyszę i widzę w około siebie. Jedni rozprawiają o ludzkości tak wysoko, że tego i sam orzeł co w słońce patrzy, nie dowidza; a drudzy znowu folgują tyle ułomnościom ludzkim, że człowiek w drugą ostateczność wpada. Niema złotego środka! — chociaż, prawdę mówiąc są tacy, co na dwóch stołkach siadują, i chwieją się tam i sam jak im potrzeba.

Innym był proboszcz mój, co żył za czasów jeszcze kiedy ludzie mało co o sentymentach prawili. Z tém wszystkiém, chowaj mię Boże, bym go miał w samo złoto oprawiać. Miał i on słabostki swoje, poczciwiec! I naprzykład powiem, że do niego wcale nie można było tego przymierzyć, czém sławny Liebig postęp oświaty w narodach mierzy, to jest: mnogością zużycia mydła. U niego mydło bywało mydłem, a utrzymywał że w zafolowanéj sukmanie i chacie tak się dusza obędzie że człeku w tém najmiléj. Bądź co bądź, brud i zapróchy nie uszczerbiały ani sercu jego ani rozumowi.

Powiem i jeszcze jedno o nim. Było-to 15 marca 1799, a dzień-to wrogi u starożytnych ten „Idus Martiae“, nadto wilia walki pod St. Jean d'Acre. Są dnie feralne, ale są i dnie z przeznaczeniem wielkich wypadków; jednym z nich był dzień 15 marca r. 1799, więc że znakomity, zacznę moją powieść ze świtem dnia tego.

Zawiewa dęła na dworze, zwykła u nas przepowiednia wiosny, płatki po płatku zalatywały do okna na probostwie i jak łza spływały po szybach. W izbie w starym krześlisku siedział ksiądz proboszcz pod piecem, gramolił między książkami, owiany kłębami

königu, i nawet nie dostrzegł że już świtało, że już się rozwidniło, kaganek jeszcze się świecił; wtém ktoś na plebanię mocno zapukał.

Wywołano księdza proboszcza; przed gankiem stał człek w kuczmie po same uszy, a od opończy zawijał się kołnierz wyżéj uszu. Nawet i należytego pokłonu oddać nie mógł, bo w ręku trzymał pudło: Oto panie, jadąc ze Lwowa znalazłem to na drodze, musiał je zgubić pocztylion którego spotkałem, nie mogłem go się już dowołać, ale z napisu ile wyczytać umiem, należy to zawiniątko do księdza proboszcza, więc je składam. — I złożył pudło na ziemię, a poczciwa w nim dusza, nawet i poczesnego nie czekał, odszedł za wrota śpiesznie, bo chodóbka stała na słocie.

Ksiądz proboszcz wziął więc pudło, błogosławiąc niebu że żyją jeszcze poczciwi ludzie, bo kto inny byłby na znajdzie pewnie adresu nie czytał, wniósł zawiniątko do izby ażeby przy świetle dokładniéj rozpoznać. Adres nie był bardzo czytelny, i ręka mu nieznajoma. Co by to mogło być? Ale nie było czasu gubić się w domysłach; z-pod łubu pudła zaczął się dziwny jakiś przebijać głosik; strwożony, zrywa czémprędzéj wieko, i masz go! w pudle między gałganami na kłakach zawinięte leży małe bachurzątko, może mu było z tydzień, i z uśmieszkiem wyciąga to rączęta; lecz że proboszcz przerażony osłupiał i długo nie wiedział co począć, malec zaczął wrzeszczeć. Więc w przestrachu wylatuje za drzwi, woła gospodynię, parobków i dziewki, niech radzą, a sam opowiada trzecie przez dziesiąte jak przyszedł do tego skarbu. Wyskoczył jeden parobek za wrota na prawo, drugi na lewo, tamten gnał aż do krzyża, ten się po polach oglądał; jak kamień w wodę, ani słychu o kuczmie.

Tym czasem ksiądz proboszcz się opamiętał, chłopczyna z pudła uśmiechał się tak lubo jak niegdyś Mojżesz z rogoży, że aż przypadł do serca księdzu plebanowi. Już by go był sobie bez prawa przyswoił, ale znalazał się i dedykacya przy chłopcu; był-to list do księdza proboszcza:

- „Najprzewielebniejszy a najbogobojniejszy Panie i Dobrodzieju! Opłacam się sumiennie z wszelkiéj dziesięciny; dziesiąty kłos to nasz dziesiąty włos, a dziesiąty snop to nasz dziesiąty chłop. Tak myślę i mówię do żony: kochanciu! obsypał nas pan Bóg dziewięciorgiem chłopców, niechże gdy przybył Dzięcior, idzie na ofiarę dziesiętną. Biedaczce było przykro rozstawać się, alem wyperswadował: U księdza proboszcza, mówię, będzie chłopcu lepiéj niż u nas; przy księdzu proboszczu nauczy się nie dawać ale brać dziesięcinę, nauczy się czytać i pisać za darmo, wyjdzie z czasem, kto wié może na organistę i będzie żył jak półpleban jaki! a księdzu proboszczowi także się krzywda nie stanie, nie potrzebuje od smarkacza płacić za chrzciny. Waszéj przewielebnéj Mości najsłużebniejszy *Rataj.*“

Księdzu proboszczowi zrobiło się markotno gdy to przeczytał; zastąpiło mu oczy, i łza jak perła stoczyła się po twarzy. Westchnął i w duszy sobie powiedział: Przyjmowałeś Panie naigrawania żydowskie, bądź pochwalon że na mnie dopuszczasz chrześciańskie żarty! — Héj Katarzyno! Opatrzył pan Bóg dom w prosię, będzie i wieprzowina — zabierz teraz chłopca, damy go na Hołosko w Baby.

Dobrze Jegomość! Bóg wié kto komu ojcem.

Już ja mu będę, mruknął do siebie ksiądz proboszcz, i co wyrzekł, dopełnił. Chłopczysko rosło pod jego okiem jak trzcina, i zdrowe jak orzech przylgnęło duszą i sercem do księdza proboszcza. A staruszek przywiązał się także do chłopca, uważał go za dar opatrzny, zesłany z nieba, ażeby tu świata sobie nie obrzydł, i zakrwawione serce niebu nie złorzeczyło; i nieraz mawiał: Mój Dzięciorek, jak chłopca wszyscy nazywali, mój Dzięciorek, mówię, dowodem że dziesiętny snop nie koniecznie stokłosa. — Nie miéj mi za złe czytelniku, że w obecj ciebie z tego się chlubię,

a chlubię jeźli mam prawdę wyznać dla tego, że to ja sam ten Dzięcior jestem.

Gdzieś w osmém czy dziewiątém leciu przysposobienia mego, a było-to z wiosną kiedy skowronki śpiewały, i zboże kwitło, bławaty, maczki, stokrótki po miedzach się miliły, szedłem raz z moim Dziaduniem polami, znosiłem mu co mię bawiło, bo widziałem że to i dziadunia cieszyło. Dziadunio głaskał, i opowiadał jak co do czego służy; już-to zwyczaj był jego uczyć mię w polu a nie za piecem; a z tém zeszliśmy na drogę rozstajną, i mówi do mnie: A pamiętaj sobie mój synu tu o to miejsce! jak dorośniesz musisz tu gdzie ta murawa wystawić sobie dwór na mieszkanie, bo ludzie powiadają żeś na tém miejscu się rodził; i ażebyś niezapomniał postawimy jutro tu słup poręczny, co będzie pokazywał, gdzie komu droga. — Postawiliśmy nazajutrz słup, poprzybijali łaty na prawo, na lewo, jak dokąd droga szła, pomalowaliśmy farbami, ale swojskiemi, bo wtedy jeszcze nikt się nie bawił w wymyślne narodowości.

I otoż-to ten słup którego ramiona teraz zwieszone widzę, dopust boży spadł i na niego, naręcza pochyliły się ku dołowi — dobrze, dobrze, wiem co mię czeka!

STARY DZIWAK.

Z pamiętników amerykańskiego doktora.

(Dokończenie. Ob. Nr. 40. Rozmaitości.)

Doktorze, mówi mi, zdaje mi się żeś uczciwy człowiek i zwierny; takim uważałem cię zawsze u antykwarza. Wiele masz lat?

Przeszło już za trzydzieści, odpowiedziałem uśmiechając się.

Hm! i żonatyś?

Tak jest, i mam dwoje dzieci.

Za młodyś mój panie, za młody, o trzydzieści lat albo najmniéj o dwadzieścia i pięć za młody do małżeństwa. Posłuchaj, co mówi uczony Godolphin. Ach panie, niema już na świecie doktorów od kiedy pisał Godolphin; dzisiejsi lekarze tylko macać umieją, nauki żadnéj. Przeczytam ci wyjątek z traktatu Godolphina o małżeństwie tom II, rozdział XVI strona 301: „A więc kto jest w sile ducha swego i ciała, i nie podaje się rozwiązłości, łakomstwu i obżarstwu, sądzę że wiek sześćdziesiąt lat, jest pora mu żenić się, bo w tym wieku dojźrzałym mężczyzna się ustatkował, nie goni za płochościami ale mądrości szuka; ciało jego i rozum o téj porze w najdoskonalszym stanie.“ — Co do mnie, dodał mój stary, zupełnie się z nim zgadzam, i nie mogę przyzwolić, by młokosy trzydziesto-, czterdziesto-, nawet pięćdziesięcioletni brali na siebie odpowiedzialność za małżeństwo, już i dla tego że to nad miarę pomnaża ludność; zgroza, co z tego będzie. W moim tylko wieku przystało mężczyźnie żenić się; i w rzeczy samej doktorze, ja myślę się żenić. Wiem, Mistress Standish będzie temu przeciwna; nic nie pomoże! co postanowiłem wykonam, tém bardziéj gdy mię przekonały te księgi nieocenione. Że samotny żyję, potrzebuję powiernika. Co myślisz doktorze?

Odpowiedziałem, że i ja z Godolphim się zgadzam, iż zostaje w dojźrzałości wieku, gdzie rozsądek w całéj posiada sile; że zaś ja zawsze byłem za małżeństwem, i sądzę że lepiéj późno a niżeli nigdy, a w życzliwości mojéj chętnie przyłożyłbym się byłem wiedział czém przyspieszyć szczęśliwą chwilę jego małżeństwa; i pożegnawszy go odszedłem.

W kilka dni gdym go odwiedził, już nie kaszlał; uważałem żem uzyskał w dobréj opinii u niego, i że na przekor zrzędnéj pani Standish ja posiadałem jego zaufanie. Ledwom usiadł, mówi mi: Oto zapłata twoja, doktorze. Ani słowa. Wiem to że daję za wiele za małą przysługę, ale niegadaj nic, bierz i siedź. Chciałbym ażebyś zobaczył młodą panienkę, a moją przyszłą żonę.

Młodą panienkę? wymknęło mi się nieostrożnie.

Hm! a to szalony, w nim widzę i krzty rozsądku, a ja myślałem! Mój Mości, za pozwoleniem, dla czegożby nie młodą panienkę? Czyż uczony Godolphin nie mówi wyraźnie: „Równie jak mężczyzna powinien być silny, układny i w wieku podeszły, ażeby rozum jego nie nwodził się marnościami; tak też narzeczona niech będzie młoda, przystojna i pełna wdzięków.“ Coż ty na to doktorze?

Zgadzam się, odpowiedziałem, bardzo słusznie, i polegam zupełnie na mądrości autora, — i jakoś tém go przebłagałem. Ktoś zapukał do drzwi, i lekki krok po schodach zapowiedział przybycie narzeczonéj, mło-

dėj panienki w wieku lat może dwadzieścia jeden; weszła z ochmistrzynią, przyniosła jedwabną kamizelkę którę pan M. W. kazał haftować, bo chociaż hafty wyszły z mody, stary gentleman nie pofolgował, kazał koniecznie.

Panienka utrzymywała się z robótek, a poczciwa pani Standish przypadkiem sama ją naraiła; z roboty stary gentleman tak był kontent że chciał i robotnicę poznać. Piękność i szczerość dziewczęcia takie na starym zrobiły wrażenie, że nazajutrz godziną pierwéj przyszedł do antykwarza ażeby przytłumić nie znane w sobie uczucia. Wziął się do dzieła Godolphina, który na sposób uczonych wypisał się z dziwactwami o małżeństwie, i to go utwierdziło. Potém rozmówił się z matką dziewczęcia, biédną wdową — a córkę tak zaślepiło to, że z nędzy panią zostanie, iż bez wahania przystała. Sądzę że miłości tu wcale nie było. Ochmistrzyni gdyrała, złorzeczyła, ale stary stał niewzrnszony. W chwili kiedy mnie się zwierzał; już wszystko było umówioném, a że nie miał przyjaciół, więc do mnie udał się prosząc na świadka.

Wesele odbyło się w zaciszu, nikt, nawet najbliżsi sąsiedzi nie wiedzieli, czy się co stało. W dzień ten stary przebrał się w frak jasno-niebieski, spodnie aksamitne czarne, pończochy jedwabne; przy podwiązkach i u trzewików jaśniały sprzączki dyamentowe, i nowy trzygraniasty kapelusz na głowie przeistoczył starca w gładysza z wieku królowéj Anny albo Jerzego I.

Dziwacznie to małżeństwo dobrało się, ale ile wiem było szczęśliwe. Miał dwoje dzieci, chłopca i córkę: dziwak w siedmdziesiątym roku kupił majątek w Wirginii, przeniósł się na prowincyę i żył do ośmdziesiąt trzech lat. Wdowa po nim niedługo umarła, a dzieci pożenili się i żyją w majątku po ojcu.

KUNSZT I SZTUKA.

Ach nie zawsze rozsądek, rozum, nauka i biegłość z wzorów klasycznych nabyta, wydają dobrego aktora; obejdzie się bez tego wszystkiego, czegoś mu więcéj potrzeba, sto razy więcéj: potrzeba instynktu, zaskórnéj, że powiem wiedzy któréj przedtém ani ucho w nikim dosłyszéć nie mogło, ani oko dopatrzyć. Są ludzie, co się rodzili, by się z nich śmiano, by z nimi płakano. Niech-że z nich taki, stanie przed nami! niech zagada! a słuchacz słucha go z przyjemnością sam nie wié dla czego, i znajduje w słowach jego najobojętniejszych jakieś wdzięki i śmieszne i żałosne, w geście i midze jego pobieżnéj schwytuje cały obraz komedyi, w wykrzykniku jego już dopatrzył całego dramatu; publiczność zachodzi się od śmiechu, albo rozpada w żalu, sama nie wiedząc zkąd poszły te śmiechy, te żale. Człek rozsądny pyta: cóż tu powodem do tych uniesień, nie pojmuję — prawdziwie przystąpiło do ludzi, śmieją się gdzie mię mory przechodzą, płaczą gdziebym pękał ze śmiechu! — Są-to tajemnice mój bracie, których pojęcie w szóstym zmyśle, a tego ty nie masz.

Niechże przy tych ulubieńcach natury wystąpi aktor przemożny zasobem nauk jedynie! — Próżne wysilenia! marne zabiegi! Niech ma i więcéj dowcipu i siły twórczéj, nic to nie nada. Ma i głos czyściejszy, i wzrok przenikliwszy, i gest i ruch ożywiony jak u żadnego z kolegów więcéj, a przecie sala milczy, zapał jakby zamartwiał; i biédny aktor w zadumaniu pyta: coż tu między mną a publiczuością? wszak widzę, czuję, pojmuję lepiéj niż który z najlepszych, a przecie jest coś co zmraża mój zapał kiedy się unieść pragnę, jest coś co ziębi słuchacza kiedy chwilowo go zapał podnieci. O zgrozo! o boleści! zkąd te zawody? dla czegoż ja potępiony a nie tamten co wychodzi a nic nie pojął, ani odgadnął? dla czego tamta, co ani mienia, ani głosu, ani piękności, ani wdzięku, ani oka, ani wzruszenia w sobie, dla czego ona byle spojźrzała na parter, a wszystko drży z radości? byle wystąpiła blada, rozczóchrana, już wszystko w zapale? dla czego wiersz z ust moich przeraża, a z jéj gęby rozczula i słodzi?

Dla czego? nie wiem; ale na co? zgaduję; na to, ażebyś wiedział, że Kunszt a Sztuka nie jedno.

Rozliczne użytki z trocin drzewnych.

Trociny, jak wiadomo, przefermentowane z wapnem, stanowią doskonały kompost, mianowicie pod inspekta; popiół z nich również jako nawóz nader skutecznie wpływa; pomieszane i ściéśnione w prasie z okruszynami torfowemi, wydają bardzo dobre paliwo; w retortach utrzymują z nich wysoko ceniony węgiel; nakoniec z trocin robią w tylu celach technicznych zastosowanie mający: ocet drzewny.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*